

Anna Szafrńska

Malwina

SERIA PINK TATTOO
TOM 2



Copyright ©
Anna Szafrńska
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Beata Kostrzewska
Korekta:
Weronika Kucharczyk
Katarzyna Olchowy
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-338-5

ANNA SZAFRAŃSKA

MALWINA

PINK TATTOO #2

OŚWIĘCIM 2020



Ile razy chcielibyśmy cofnąć czas?

Wrócić do pewnych momentów z naszego życia, by zmienić bieg wydarzeń i tym samym powstrzymać efekt domina? Niezliczona ilość porażek i złych wyborów doprowadza nas do tego, kim teraz jesteśmy i w jaki sposób uczymy się na błędach. A nie ma lepszego nauczyciela niż samo życie. Nic nas bardziej nie utwierdzi w przekonaniu, że powinniśmy ważyć słowa, a złota reguła „pomyśl dwa razy, zanim coś zrobisz” jest prawdziwa. Ale dlaczego doświadczamy tego dopiero, gdy stanie się najgorsze? Gdy już nie mamy wpływu na to, co przyniesie los, gdy znajdujemy się w pułapce i nie widzimy nawet śladu ścieżki prowadzącej ku wyjściu?

Popełniłam wiele błędów. Często nieświadomie. I to sprawiło, że stałam się osobą, która nie wierzy w miłość, którą łatwo zranić.

Nie noszę zbroi, tylko udaję twardą.

Walczę za najbliższych mi ludzi, ale nie za siebie.

Bo dla mnie nie ma już ratunku.

Nie ma przyszłości...

– Obiecałaś! – wycodziłam przez zaciśnięte zęby i dla podkreślenia, jak bardzo byłam wkurzona, jeszcze wściekle tupnęłam.

– Wiem, kochanie! – zawołała mama, a w tle usłyszałam szaleńcze skrzypienie wycieraczek. – Naprawdę robię, co mogę. Idź na próbę i daj czadu. Będziemy na miejscu, zanim się obejrzysz.

– I przestań zrzędzić, smarku! – wciąła się rozjuszona Sandra, za co mama ostro na nią fuknęła.

– Dwadzieścia minut i jesteście – powiedziała do mnie mama, a ja wyczułam, że uśmiecha się łagodnie, chcąc załagodzić sytuację. – Zobaczysz nas na widowni podczas występu. Nie trać czasu, tylko leć na próbę, Maliś! Kocham!

– Ja ciebie też – mruknęłam naburmuszona i szurając smętnie nogami, powlokłam się do garderoby.

Próba w moim wykonaniu przebiegła jak zwykle bezbłędnie i czekałam już tylko na finalny występ, kiedy to będę mogła pochwalić się mamie i Sandrze efektami swojej pracy. W myślach już powtarzałam uszczypliwości, które przygotowałam specjalnie dla starszej siostry. Ostatnio coraz częściej docinała mi tekstami, że „wałę kopytami o podłogę tak głośno, że ona nie może się skupić na nutach”. Oczami wyobraźni już widziałam jej zzieleniałą z zazdrości twarz i z radości aż chciało mi się pisać. W końcu utrę jej nosa!

Ale mój pełen dumy balon pękł, gdy tuż przed przedstawieniem wychyliłam się zza kulis, by rzucić okiem na pełną salę. Prawie pełną.

I było mi przykro. Tak przykro, jak nigdy wcześniej. Bo co musiało się wydarzyć i kto znowu był ode mnie ważniejszy? Mój młodszy brat? Czy może znowu Sandra? Dwa puste miejsca w pierwszym rzędzie rzucały się w oczy, a mimo to w trakcie występu co rusz przeczesywałam wzrokiem widownię, łudząc się, że może usiadły gdzieś indziej. W moim sercu tlił się już tylko mały, przygasający płomynek nadziei. W końcu kurtyna opadła i zapalono górne oświetlenie.

Nie przyjechały. Nie było ich w tłumie wiwatujących rodziców.

Godzinę spędziłam w holu wraz z trenerką, która bezustannie próbowała dodzwonić się na zmianę do mamy i taty. W międzyczasie starała się mnie zagadywać, ale wyczułam, że jej uśmiech był raczej wymuszony i najchętniej zostawiłaby mnie samą. Znowu dla kolejnej osoby byłam ciężarem, powinnością, z której należało się wywiązać...

Z nerwów rozboleł mnie brzuch.

Bałam się jak nigdy w całym swoim dziesięcioletnim życiu.

To było niemożliwe.

Nic złego nie mogło im się stać.

Nie mamie i Sandrze...

W końcu drzwi wejściowe uderzyły z hukiem o ścianę. Zobaczyłam wbiegającego tatę, który był blady z przerażenia, a kiedy mnie dostrzegł... Pamiętam, że natychmiast zerwałam się z niewygodnego plastikowego krzesła i wpadłam wprost w jego silne ramiona. Ukucnął i tak jak zawsze pocałował mnie w czoło. Tyle że tym razem całus był drżący i wilgotny od łez. Objął mnie szczerze ramionami, jakby chciał ochronić swój najcenniejszy skarb.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że „kocham”, które pospiesznie wypowiedziała mama, było ostatnim, jakie od niej usłyszałam.

I właśnie to „kocham” naznaczyło mnie na całe życie.

Sprawiło, że czułam się winna.



Rozdział 1

Why?

Who, me?

Why?

Feet don't fail me now

Take me to the finish line

Oh, my heart it breaks every step that I take.

Lana Del Rey, *Born To Die*

– Tato? – pisałam, gdy opiekuńczy uścisk jego ramion stracił na sile.

– Tatusiu?

Ojciec drgnął, podnosząc się z kolan. Spojrzał na mnie z góry, a jego usta się wykrzywiły. Patrzył na mnie z obrzydzeniem. Z pogardą. Nie-nawiścią. Jego ramiona zadrżały, gdy zacisnął dłonie w pięści. Przerazona cofnęłam się o krok i uniosłam ręce, by osłonić się przed ciosem. Po chwili zerknęłam przez palce, słysząc oddalające się kroki.

– Tato! Tato, wróć! Przepraszam! Tatusiu!!! – wołałam i wołałam, ale na próżno. Nie odwrócił się, by chociaż na mnie spojrzeć, wyjaśnić, dlaczego mnie zostawił.

Próbowałam gonić oddalającą się postać ojca i kiedy już byłam wystarczająco blisko, wyciągałam ręce w jego stronę, lecz on... rozplynął się w powietrzu. Moje palce musnęły opary ciemnego dymu. Potknęłam się o własne stopy i wylądowałam na kolanach, boleśnie je roztrzaskując. Szlochałam i do znudzenia próbowałam przywołać go z powrotem. Prosiłam, by wrócił. By nadal mnie kochał.

Ochryplam od tego krzyku, a wydobywający się ze mnie dźwięk przywodził na myśl skrzywienie zardzewiałych zawiasów. Wyprostowałam się i nadal klęcząc, przetarłam policzki.

Coś się zmieniło.

Faktura mojej skóry była... inna. Spojrzałam na swoje dłonie. Krótko obcięte i zadbane paznokcie zdołał perłowy lakier. Na serdecznym palcu prawej dłoni połyskiwał złoty pierścionek z małym diamentem pośrodku. I coś jeszcze przykuło moją uwagę. Nie miałam na sobie wypłowiałych, workowatych dzinsów i kraciastej koszuli po Sandrze, tylko koktajlową sukienkę w mdłym brzoskwiniowym odcieniu. Ostry pisk wyrwał się z moich zaciśniętych ust. Zerwałam się na równe nogi, ale niemal natychmiast ponownie upadłam na ziemię. Na stopach miałam białe szpilki związane na kostce. Drżącą ręką dotknęłam włosów, bo nie czułam ich łaskotania na karku. Były ściągnięte na czubku głowy, upięte w elegancki kok. W uszach tkwiły drobne, subtelne kolczyki. Dwie perłki.

Po lewej stronie dostrzegłam ruch. To byłam ja. Z ogromnego lustra pozbawionego ram patrzyło na mnie własne odbicie. Wstałam, podpierając się rękami, i usłyszałam szelest. Śliski materiał zaplątał się wokół moich nóg, gdy zrobiłam krok w stronę lustra. Kobieta spoglądająca na mnie z nieskazitelnej tafli miała na sobie białą suknię sięgającą ziemi. Tren ciągnął się na kilka metrów. Moją głowę przyozdabiał koronkowy welon. Gwałtownie szarpnęłam za woalkę, niemal wyrrywając przy tym włosy. Suknia była zbyt ciasna, nie mogłam w niej swobodnie oddychać. Miałam wrażenie, że bogato zdobiony gorset zaciskał się coraz mocniej. Blokował mi oddech. Dusiłam się.

Dotknęłam lustra. Odnalazłam swoje oczy. Niebieskie. Puste. Pozbawione blasku. Przesiąknięte strachem.

Kim byłam? Kim... Czym się stałam?

– Musimy już iść, nieprawdaż? – szepnął mi do ucha aksamitny głos. – Nie możemy pozwolić gościom czekać.

Za mną zamajaczyła ciemna postać. Skupiłam się na tym, by doszukać się rysów twarzy i gdy w końcu je ujrzałam... sparaliżował mnie strach.

Moja ręka bezwiednie opadła wzdłuż ciała.

On mnie kocha. Kocha... – powtarzałam, gdy silna dłoń roszczeniowo zacisnęła się na moim biodrze. Skinęłam głową.

– Musisz powiedzieć to na głos – napomniat mnie ostry głos.

– T-tak – powtórzyłam.

I wtedy to zobaczyłam. Jego podłużną twarz i usta wykrzywione w cynicznym uśmiechu. Zielone oczy patrzące na mnie jak na zdobycz. Na rzecz.

– Będiesz idealną żoną, moja laleczko – wyszeptał zadowolony.

Nim zdołałam ponownie przytaknąć, za moimi plecami zamajaczyła kolejna postać. Biegła w naszą stronę. Krzyczała coś. Wołała mnie. Ale było już za późno. Byłam jego...

Gdy Patryk mnie obrócił, by złożyć na moich ustach pocałunek, nagle został pociągnięty w tył i przyparty do podłogi. I choć pięści lądowały na jego twarzy raz za razem, to śmiał się ochryple.

Krew... Krew bryzgała wszędzie... Zabarwiła szkarłatem moją suknię, moje ręce... Moją twarz...

Rzuciłam się, by odciągnąć napastnika, i zamarłam...

Bo tym, który wymierzał ciosy, był...

Obudziłam się z okrzykiem przerażenia na ustach. Roztrzęsiona rozejrzałam się wokoło.

Leżałam na wznak w swoim łóżku, wśród wzburzonej pościeli, a ciszę, jaka panowała w całym domu, przecinał nagłący, świdrujący uszy budzik. Przecierając oczy z resztek snu, machnęłam ręką w kierunku nocnego stolika. Upierdliwy dźwięk natychmiast zamilkł. Przesunęłam się na materacu, czując, że koszulka przykleiła mi się do spoconych pleców. Zmęczonym ruchem potarłam twarz i odrzuciłam do tyłu mokre, skołtunione włosy.

Chciałam przestać śnić.

Chciałam chociaż raz obudzić się bez tego cholernego poczucia winy, które spalało mnie od środka, które codziennie mi przypominało, że potrafię tylko niszczyć...

Byłam zmęczona. Tak bardzo zmęczona...

Rozmasowałam obolałe skronie, myśląc tylko o tym, by pozbierać się do kupy. Musiałam się ogarnąć, iść do pracy, a wieczorem czekało mnie przyjęcie u Lilki i Mata. Taki był plan na ten dzień, więc przede wszystkim powinnam zacząć od zebrania sił, by wstać z łóżka. Zaciskając lodowate palce na prześcieradle, starałam się zapanować nad oddechem, wyciszyć wspomnienia, które przywołał tamten sen. Pusty umysł, czysta kartka. Wsluchana w nieregularne bicie serca, nabierałam nosem drżące powietrze, by wolno wypuścić je ustami. Po jakimś czasie rytm uderzeń zaczął się normować, a i w końcu ustało bolesne drżenie mięśni. Powoli uchyliłam powieki, a z szafki zagarnęłam szklanekę z wodą, którą wypijałam do dna.

To był mój codzienny rytuał. Niezmienny od lat. I tylko on sprawiał, że byłam w stanie normalnie funkcjonować.

Pierwsze koszmary pojawiały się sporadycznie, gdy jeszcze byłam nastolatką tęskniącą za mamą. Wtedy nie wiedziałam, jak się zachować zaraz po wybudzeniu z przerażająco realistycznego snu. Błędem numer jeden było gwałtowne zrywanie się z pościeli – na miękkich nogach trudno było utrzymać równowagę, wobec czego niejednokrotnie waliłam głową w stół albo ramę łóżka, nie mówiąc już o tym, że kolana miałam całe posiniaczone. Natomiast drugim było łapczywe picie wody, gdy jeszcze nie panowałam nad oddechem. Ale wtedy myślałam tylko o tym, że zabijała mnie suchość w gardle, której nabawiłam się przez spazmatyczne łapanie powietrza.

Od sześciu lat niemal każdej nocy śniłam to samo wspomnienie. Tak, wspomnienie. Koszmar rzeczywistości. Byłam z nim na tyle obyta, by wiedzieć, że najpierw muszę opanować ciało i zablokować umysł. Dopiero to pozwalało mi normalnie wstać. Ataki nie trwały długo. Mijało może dziesięć minut, nim z powrotem mogłam w miarę swobodnie poruszyć barkami, a moje

serce przestawało kotłować się w piersi. Szkoda, że w taki sam sposób nie mogłam wyciszyć wspomnień.

Zgarnęłam z szafki tablet i ładując filmik instruktażowy z jogą, rozwinęłam pod oknem karimatę. Położyłam się na wznak z rozłożonymi nogami i rękami i zamknęłam oczy, czekając, aż senny, apatyczny głos mojej wirtualnej instruktorki poprowadzi mnie przez kolejne etapy techniki relaksacyjnej Jacobsona. Ćwiczyłam wdechy, wydechy, napinałam i rozluźniałam poszczególne partie mięśni, później powtarzałam w myślach jak mantrę: „jestem bezpieczna, jestem dla siebie największym wsparciem, jestem wystarczająca”... Przyznaję, pierwsze podejście skończyło się tym, że karimata wylądowała pod moim łóżkiem, kurząc się tam przez kilka tygodni. Te słowa wydawały mi się śmieszne i tak do mnie niepasujące. Nigdy nie czułam się ani bezpieczna, ani potrzebna... Jednak nie mogłam darować sobie tego, że pokonało mnie coś takiego jak relaksacyjna joga. Obiecałam sobie, że spróbuję jeszcze raz. Z czasem głos instruktorki przestał być aż tak irytujący, a potem stał się drogą prowadzącą ku wyciszeniu. A właśnie tego najbardziej potrzebowałam. Miałam swoje dwadzieścia pięć minut wyciszenia, myślenia dosłownie o niczym. Nawet jeśli miałam kłamać, powtarzając, że „jestem bezpieczna, jestem wystarczająca”.

Po przebrnięciu przez jogę sięgnęłam po telefon i przejrzałam powiadomienia – wiadomości, pocztę, czasami też rzucałam okiem na komunikator. Moja praca polegała w większości na tym, że musiałam być na bieżąco z wieloma sprawami oraz znajdować się w stałym kontakcie z redaktorami, a także pracownikami innych działów, dzięki czemu sprawnie koordynowałam zespół, a dramy, które narodziły się w środku nocy, rozwiązywałam jeszcze przed łykiem porannej kawy. Tym się zajmowałam i chociaż czasami cierpiałam z powodu stresu i przemęczenia, lubiłam swoją pracę. Miałam poczucie bycia zaangażowaną w sprawę, a przed sobą ciągłe wyzwania i niezmienną świadomość odpowiedzialności oraz decyzyjności.

Kiedy już poparzyłam sobie usta kawą i skonsultowałam z asystentką mój dzisiejszy grafik, powlokłam się pod prysznic. Wilgotne ciuchy rzuciłam obok kosza na bieliznę i dość sceptycznie spoglądałam na piętrzącą się ilość rzeczy do prania. Powoli zastanawiałam się, czy znajdę jeszcze coś czystego w garderobie. Codziennie przekładałam wykonanie telefonu do agencji sprzątającej w nadziei, że może w jakiś magiczny sposób uda mi się załadować pralkę, odkurzyć dom i umyć podłogi. Mogłam siać postrach wśród pracowników LooKa, pomagać ojcu w ogarnianiu polskiego oddziału jego firmy, jeździć na gale i szkolenia, dopinać grafik tak, że prawie pękał w szwach, i z tym się wyrabiałam, ale już prowadzenie domu było dla mnie czynnością z kosmosu.

Dzisiaj to zrobię. Zadzwonię do agencji – obiecałam sobie w duchu, a i tak mogłam się założyć, że zapomnę o tym z chwilą, gdy wyjdę spod prysznicza.

Pół godziny później stałam przed lustrem w pełnym makijażu i układałam włosy, zawijając końce na prostownicy. Manewrowałam nią tak, że niechcący zahaczyłam kablem o paletę cieni, którą zostawiłam na umywalce. Nie zdążyłam nawet zakląć, gdy ta upadła z hukiem na podłogę. Ostrożnie podniosłam zamknięte pudełko, ale i tak mogłam się założyć, że w środku zastanę mieszaninę pstrokatego pyłu. Gruchotanie podpowiedziało mi, że dodatkowo stłukłam lustro. Świetnie. Niewiele myśląc, cisnęłam niemal nową paletę do kosza, a podnosząc się, przecesałam palcami ułożone włosy i spoglądałam na swoje odbicie w lustrze, przeglądając się w tafli ze wszystkich stron. Wściekle zagryzłam zęby.

Na moich nagich barkach dostrzegłam zarys ujmującej zieleni. Tusz, który nosiłam pod skórą.

Jednak Lilka miała rację. Tatuaz powinien być czymś przemysłowym, posiadać ukryte znaczenie i przede wszystkim odganiać parszywe wspomnienia, a nie je namnażać. W moim przypadku wszystko było na opak. Misterna, delikatna i absolutnie zachwy-

cająca malwa, którą miałam na plecach między łopatkami, miała symbolizować moje imię, mnie całą. Delikatną, acz wytrzymałą Malwinę. A tymczasem za każdym razem, gdy na nią spojrzełam, przypominała mi o mężczyźnie, który zostawił na mnie ten tatuaż. Wiedziałam, że jest coś niecodziennego w sposobie, w jakim moja skóra reagowała na jego dotyk, na dźwięk głębokiego, basowego głosu. Stawała się wrażliwa. Drżąca. Zatracając się w tym wspomnieniu, nieświadomie zamknęłam oczy. Wyciągając rękę za siebie, dotknęłam tatuażu, jakbym w ten sposób mogła sięgnąć samego Arka. Czulałam go na sobie. Pod skórą. Słyszałam jego ostre warknięcie, bym się nie kręciła...

Arek wybrał idealny moment, by odsunąć maszynkę od moich pleców, bo sekundę później drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że praktycznie wylądowały na ścianie.

– Coś mi dał za galaretkę? – burknął przepelniony pretensją głos.

– A co? Już bidulkę wystraszyłeś? – odparł Arek, ciężko wzdychając.

– Problem w tym, że nie mogę jej nawet dotknąć, bo cała się wzdryga.

Krew się we mnie zagotowała i pomimo odrętwiałych pleców podparłam się na rękach, by zmierzyć tego dupka nienawistnym spojrzeniem.

– Słuchaj no, koleś! – warknęłam ostro. Byłam tak wkurzona, że zignorowałam Arka, który napomniął mnie szorstko i w porę odchylił się na krzesło. – Jeśli Lilka powie mi, że byłeś dla niej ostatnim chamem...

– To co? – rzucił wyzywająco mężczyzna, którego rozpoznałam z fotografii z artykułu. Na żywo wydawał się jeszcze większym bufonem, szczególnie gdy mrużył wrogo oczy, a na jego usta wpłynął krzywy uśmiech cwaniaczka. – Pozwól, niech zgadnę. Wykastrujesz mnie?

– Was wszystkich – uściśliłam. – Jestem szefową redakcji Lo-oKa. To dzięki mnie ten zakład jest najgorętszy w mieście!

– Chyba chciałaś powiedzieć, że przez ciebie dzień w dzień mamy nalot napalonych pustaków, które...

– Dość! – Uciał natychmiast Arek tonem nieznośnym sprzeciwu. – Mateusz, wracaj do klientki. Teraz – dodał twardo i odczekał, aż koleś w końcu podkuli ogon i wyjdzie z gabinetu. Gdy już zostaliśmy sami, westchnął głęboko. – A ty się kładź i podziękuj mojemu cholernie dobremu refleksowi.

– Czemu? – warknęłam, odwracając się w jego stronę. W tej chwili byłam tak rozjuszona, że pałałam jawną niechęcią do każdego pracownika Pink Tattoo.

– Refleksowi – powtórzył spokojnie Arek, pobieżnie na mnie spoglądając. Miętosił w dłoni papierowy ręcznik ubrudzony czarnym tuszem. – Gdyby nie on, miałabyś mało estetyczny szlaczek na plecach.

Czułam, że blednę. Faktycznie, pręga ciągnąca się wzdłuż barków z pewnością nie była efektem, który spodziewałam się ujrzeć w lustrze po pierwszej sesji tatuowania. Zacisnęłam usta i spróbowałam opanować złość, a także odrobień spokornieć.

– A... no tak. Dziękuję – odpowiedziałam nieporadnie, a przekręcając się w stronę mężczyzny, podparłam się na lewym przedramieniu. – Chyba muszę przeprosić za swoje zachowanie. Niepotrzebnie się uniosłam.

Zerknęłam na Arka, który bez tchu patrzył mi prosto w oczy. Coś się zmieniło. Jego szare tęczówki wyraźnie pociemniały, a samo spojrzenie było trudne do udźwignięcia. Jakby przewiercało mnie na wylot. Arek zacisnął szczęki i wskazując na mnie maszynką, powiedział lekko zachrypniętym głosem:

– Skoro o *unoszeniu* mowa.

Zmarszczyłam brwi, nie wiedząc, o co mu chodzi. Dopiero gdy chrząknął znacząco i odwrócił głowę, spojrzałam po sobie.

– O fuck! – pisnęłam, rzucając się na kozetkę.

Wygrzebałam z pamięci każde znane mi przekleństwo i sycząc tę uroczą wiązanę pod nosem, uderzyłam czołem o zagłówek. W końcu uspokoiliam się na tyle, by uświadomić sobie, co robię. Ale przecież przez dobrą minutę Arek miał idealny widok na moje piersi. Nagie piersi. Nie byłam pruderyjna i raczej nie miałam problemów z nagością, jednak czymś innym jest rozmyślne uwodzenie, a czymś innym świecenie biustem. A ja nie chciałam go uwodzić. Zdecydowanie nie Arka.

– Jeśli chcesz, mogę dać ci chwilę – zaproponował dobrodusznie.

– Nie, jest okej. Cholera, tak mi głupio – westchnęłam zażenowana.

– Niepotrzebnie. Dość specyficzny charakter Mata każdego potrafi wyprowadzić z równowagi. Albo postawić do pionu.

– Nabijasz się ze mnie? – fuknęłam, przekręcając głowę, by spojrzeć na tatuażystę. Krótka przyszyżona broda Arka zatrzęsła się, a w jego oczach pojawił się figlarny błysk.

– Tylko trochę – przyznał, mrugając. – Nie chcę, żebyś niepotrzebnie się spinała.

Czułam się trochę lepiej z myślą, że dbał o mój komfort i w razie konieczności na chwilę przerwałby pracę. Jednak to byłaby niepotrzebna strata czasu – nie wiedziałam, na jakiej wielkości tatuaż zdecydowała się Lilka, a nie chciałam, by na mnie czekała. I tak mieliśmy z Arkiem plan, by podzielić pracę nad moim tatuażem na dwie sesje, więc dziś miał powstać tylko kontur. Poza tym, musiałam to przyznać, tatuaż to cholernie bolesna sprawa. Zachodziłam w głowę, jakim cudem niektórzy mogli wytrzymać kilka godzin w jednej pozycji. Dlatego, nie chcąc przeciągać tego w nieskończoność, poprosiłam Arka, by kontynuował.

Zasłuchana w ciche brzęczenie maszynki, starałam się nie skupiać na bólu wzmagającym się przy wrażliwych miejscach na kręgosłupie.

– Pierwszy raz... – Urwałam, oblizując suche usta. – To pierwszy raz, kiedy komuś zagroziłam w ten sposób. To było podłe. I szczeniackie.

– Głupio ci? – spytał bezpośrednio.

– Pałę się ze wstydu – odparłam, co akurat było zgodne z prawdą. Wrzuciłam do jednego wora naskoczenie na Mata, mój dziecinny wyskok z „jestem naczelną!” a także świecenie cyckami przed zaskoczonym Arkiem. Reasumując, tak, właśnie osiągnęłam śmiertelną dawkę wstydu.

– Coś w tym jest – zaśmiał się Arek pod nosem. – Twoje rumieńce dosięgły pleców.

– To pewnie od tatuażu.

– Mówię o tym miejscu – powiedział, wyłączając maszynkę. Nagle poczułam, jak z wolna przesuwa opuszkami palców po moich łędźwiach. Z trudem zapanowałam nad wzdrygnięciem i z całej siły wbiłam zęby w dolną wargę. – Zacerwieniły się, a nawet ich nie dotknąłem.

– Teraz już tak – wymruczałam cicho.

– Słucham?

– Nie, nic – rzuciłam szybko i dodałam jeszcze: – Nieważne.

Arek ponownie wziął się do tatuowania górnego odcinka pleców i zaczął wypytywać mnie o pracę naczelną, żebym tylko przestała myśleć o galimatiasie sprzed chwili. Odpowiadałam na każde pytanie, prostowałam mity, zastępując je faktami, ale i tak nie potrafiłam wyrzucić z pamięci wspomnienia tego prądu, który przeszył moje ciało. Jakby za pomocą tego jednego, przelotnego muśnięcia dotknął mnie w wielu miejscach naraz. I podobało mi się to...

Podobało mi się to. Czas przeszły – pomyślałam z goryczą, odwracając głowę od odbicia w lustrze.

Dzisiaj chciałabym zapomnieć, co czułam tamtego wieczoru. Wymazać z pamięci ostatnie siedem miesięcy. Powiedzieć sobie

zawczasu, że nie warto ścigać czegoś, co i tak było poza moim zasięgiem. Napomnieć, żebym trzymała się postanowień, by moje serce pozostało zimne oraz niedostępne, szczególnie dla mężczyzn pokroju Arka.

Ale na to już za późno.



Rozdział 2

*Burning everything I know, desperate for a change
Crashing down these ancient roads, past our yesterday
Maybe there's hunger in my blood
Screaming out loud for what I want.*

Illenium, *Fractures*

Przed ósmą weszłam do redakcji LooKa mieszczącej się w budynku Business Garden przy ulicy Kolorowej. Należały do nas trzy piętra. Moje biuro, dwie sale konferencyjne, przestronny pokój narad, a także biura głównych redaktorów w całości zajmowały ostatnie. Na dwóch pozostałych mieściły się studio, magazyn i garderoba. Było także białe skupisko boksów, w których nad artykułami do nowego numeru pracowali redaktorzy. Wyszłam z windy na piątym piętrze i odblokowałam drzwi kartą. Wokół panowała cisza. Teoretycznie zaczynaliśmy pracę najpóźniej o dziewiątej, jednak mogłam się założyć, że moja asystentka Baśka już przygotowywała dla mnie kawę. Krocząc w wysokich szpilkach po bordowym dywanie, dotarłam do ostatnich drzwi na końcu korytarza. Były otwarte.

Basia właśnie stawiała tacę z dwiema filiżankami na swoim biurku. A przynajmniej tak obstawiałam, bo cały blat tonął pod stertą kartek, a wieże z segregatorów i teczek chygotały się niepewnie, gotowe runąć w każdej chwili.

– Mamy jakąś inspekcję, o której zapomniałam? – spytałam zatrwożona ilością papierów, do których przejrzenia niechybnie zostanie zmuszona.

Basia przewróciła oczami i warcząc pod nosem, podała mi filiżankę.

– Zanim cokolwiek powiem, najpierw kawa – zarządziła.

– Czytasz mi w myślach.

Od razu zamoczyłam w niej usta. Trzy łyżeczki cukru i dużo mleka. Idealna. I przyda się też kolejny kop energetyczny, skoro Baśka najwyraźniej przytaczała połowę makulatury z archiwum.

– I jestem w tym na tyle biegła, by stwierdzić, że to twoja druga. Może przestaniesz pić kawę w domu, a ograniczysz się tylko do tej, którą parzę ci w pracy? W końcu jeszcze nie ma dziewiątej, a ty już masz żołądek wypełniony kofeiną.

– A propos wczesnej pory – podłapałam, ignorując jej matczyzny ton. – Czy ty przypadkiem nie jesteś świeżo poślubioną żonką? Nie musisz być teraz gdzie indziej? Na przykład migdalić się ze swoim seksownym informatykiem?

Automatycznie na jej ustach pojawił się leniwy i lekko zadziorny uśmiech, a ona sama westchnęła rozmarzona.

– Oj, tak... Kiedy chciałam wstać z łóżka, podał mi co najmniej dwadzieścia powodów, dlaczego miałabym tego nie robić – powiedziała, ciężko zwalając się na krzesło. Natychmiast skopała szpilki, które wylądowały w ciemnym kącie obok kosza na śmieci, i spojrzała krytycznie na zalegające papiery. – Ale chcę dokończyć niemożliwego i pierwszy raz od sześciu lat oczyścić swoje biurko na koniec roku. A i dodatkowo przyniosłam z archiwum kwartalne sprawozdania, o które prosiłaś – dodała, wskazując dwa segregatory i mniejszą ryżę papieru.

– Widzę twoją motywację i chęć działania. Popieram. Wezwąć egzorcystę? – spytałam z fałszywą potulnością. Tym samym naraziłam się Basi, która przeszła mnie ostrym spojrzeniem.

– Byłoby mi łatwiej, gdybyś przejrzała te papiery i oddała je przed południem, żebym mogła zamknąć archiwum na cztery spusty – warknęła nieprzyjemnie, przesuując w moją stronę stertę kartek i dwa segregatory.

– Za godzinę dam zwrotkę – odpowiedziałam. Odstawiłam kawę na tacę i dźwignęłam ze stołu kilogramy papieru. Basia przytaknęła z uznaniem i odprawiła mnie machnięciem ręki. Przekrzywiłam głowę, mrużąc drapieźnie oczy. – Znowu pomyliłam stanowiska?

– Milcz. – Pstryknęła palcami w moim kierunku.

Zaśmiałam się pod nosem. Zadziwiające było to, że naprawdę lubiłam te nasze przekomarzenia, jednak obie byłyśmy świadome istnienia nieprzekraczalnej granicy. Unikałyśmy spoufalania, jeśli w otoczeniu znajdowały się osoby trzecie, gdyż to by źle wpływało na nasz profesjonalizm i charakter obejmowanych stanowisk. Ja byłam szefem, ona moją asystentką.

Weszłam do swojego gabinetu i rzuciłam na biurko cholerne papierzyska. Ściągnęłam marynarkę i odwieszając ją na oparcie krzesła, rzuciłam głośno w stronę uchylonych drzwi:

– Spotkanie sylwestrowe z pracownikami bez zmian?

– Punkt trzynasta – odkrzyknęła Baśka i byłam prawie pewna, że jej głos odbił się od ścian dwa piętra niżej. Chwilę później przyszła do mojego gabinetu z podkładką, do której przypięła kartkę. – Twoje przemówienie. Będziesz głosić peany na cześć tego, jak to jesteś zadowolona z naszej niewolniczej pracy, dzięki której wzrasta pozycja pisma na rynku, a i że dajesz każdemu podwyżkę i płacisz potrójną stawkę za nadgodziny...

– Może jeszcze wakacje na Bali na koszt firmy? – zaproponowałam z zapałem, a Basia natychmiast pstryknęła palcami.

– I to się nazywa kreatywne podejście do sprawy!

Parsknęłam śmiechem. Słowo „urlop” nie istniało w naszym słowniku. To jak starożytny termin, który już dawno temu został zapomniany, miejska legenda głosząca, jakoby był to czas, gdy nie myślało się o pracy a wypoczywało. Swoją drogą Basia nie mogła sobie nawet pozwolić na podróż poślubną, bo zbliżała się końcówka roku, a to w każdej firmie oznaczało dodatkowe nadgodziny i różne firmowe eventy. Po Nowym Roku zamierzałam wystać ją

przymusowo na tydzień urlopu i sama nie wiedziałam, jak to przeżyję... Ostatnio wzięła wolne, gdy jednego dnia chciała zaklepać salę weselną, znaleźć sukienkę i podpisać umowę z didżejem, a na zastępstwo przysłała dziewczynę z recepcji. Przez kolejny tydzień warczała pod nosem, że więcej nie popełni takiego błędu.

Z cichym westchnieniem odebrałam od Basi przemówienie i dla pewności rzuciłam na nie okiem. Piękna śpiewka powtarzana od lat, którą karmi się swoich pracowników, zawsze zachwalająca ich pracę. Skinęłam głową, w pełni akceptując mowę napisaną przez moją asystentkę.

– A jednak o podwyżce i wakacjach na Bali nic nie ma – zauważyłam z krzywym uśmiechem. – Ale zawsze możesz napisać do prezesa.

– Życie mi jeszcze miłe – prychnęła i odwróciła się w stronę wyjścia. – Łap się za robotę.

– Ogarnę – obiecałam, walecznie wznosząc długopis.

– Ja myślę!

Godzinę później wezwałam do siebie Basię, by odebrała ode mnie archiwalne sprawozdania. Potrzebowałam tych danych, gdyż za dwa miesiące czekało mnie zebranie z prezesem oraz udziałowcami, na którym będę musiała przedstawić między innymi wyniki sprzedażowe, a także plan kreowania marki pisma na kolejny rok. Musiałam przyznać, że miałam dość dobry kontakt z moim pracodawcą oraz dużą swobodę w działaniu, jednak raz na rok byłam rozliczana ze swojej pracy. Z doświadczenia wiedziałam, że w innych redakcjach naczelni nie mieli aż tak kolorowo. Jednak w rzeczywistości, odkąd zostałam szefową, sprzedaż LookKa skoczyła o kilkadziesiąt procent, a sam magazyn zajął stałe miejsce w czołówce ogólnopolskich pism.

Zapisałam pliki potrzebne do prezentacji oraz przygotowane tabelki i zabrałam się do sprawdzania artykułów, które redaktorzy wysłali mi na maila w celu zatwierdzenia.

Uśmiechnęłam się krytycznie, czytając na tablecie wywiad z pewnym przystojnym piosenkarzem młodego pokolenia. Do-

piłam zimną już kawę i zaznaczałam fragmenty do poprawki, gdzie trzeba było zmienić szyk w zdaniu albo jeszcze raz je przeanalizować, a na czerwono ujęłam cały tytuł. Nigdy nie bawiłam się w owijanie w bawełnę, jeśli chodziło o redakcję tekstu. Gdy coś było do dupy, mówiłam o tym głośno i oczekiwałam poprawy. Gorzej, jeśli osoba, która wysłała mi artykuł, unosiła się dumą i nie akceptowała zmian. Wówczas poważnie się zastanawiałam, czy w naszym gronie redakcyjnym jest dla niej miejsce.

Wiedziałam, co jest sprzedażowym tematem, a co nadaje się do okrągłego segregatora¹, co warto podrasować, a co puścić z dymem. A im dłużej siedziałam w tym zawodzie, tym częściej przekonywałam się, że dziennikarski instynkt powoli staje się towarem deficytowym. Najprościej było pisać o czymś błahym, tak banalnym, że trudno było się wyłożyć przy *researchu* (o ile taki w ogóle został przygotowany). Czasami trudność sprawiało też choćby rozwinięcie w minimalnym stopniu przedruków z dwudziestu podobnych artykułów. I obrzydzała mnie ciągła pogoń za sensacją, manipulacja faktami, ulotność ludzkich tragedii i dokoonywanie się za pomocą tępej łopaty do samego dna tylko po to, by na chwilę przyciągnąć uwagę czytelników czy widzów. Dobrac się do największych brudów, by wyprać je publicznie. Przestało być ważne, czy osoba, której to dotyczyło, była trudno dostępną gwiazdą wielkiego formatu, czy przeciętnym człowiekiem. I gdzieś w tym wszystkim zatraciły się czułość, subtelność i odpowiedzialność za słowo pisane. Artykuły, wywiady, reportaże powielały ten sam schemat, a ja nie chciałam zbłądzić i iść tą ścieżką. Pragnęłam czegoś więcej. Czegoś ponad to – kreślić wizję rzetelnego dziennikarstwa. Gdzie się podział dekalog dziennikarza, stanowiący ścisły kodeks dobrych praktyk w naszym zawodzie, którego uczyłam się jeszcze na studiach?

Dlatego szkoliłam swoich ludzi. Bo mogłoby się wydawać, że kobiety magazyn powinien skupiać się wyłącznie na modzie,

¹ „Okrągły segregator” – popularne w wielu redakcjach określenie kosza, do którego trafiają teksty niezakwalifikowane do druku (przyp. aut.).

dietach, sensacjach z życia celebrytów. Nie na mojej zmianie. Jasne, serwowaliśmy fotorelacje o wizażu i najnowszych trendach w modzie, czasem też artykuły sponsorowane, jednak obowiązkowo w każdym numerze pojawiały się felietony czy reportaże o tematyce społecznej i kulturalnej. Chciałam obudzić swoje czytelniczki poprzez angażującą ciężką pracę redaktorów. Wymagałam rzetelnego dziennikarstwa, konkretnego *researchu* i ciekawego przedstawienia zebranego materiału. Każdy tekst przechodził przez moje ręce, a ja rozliczałam jego autora. Tak jak teraz.

– Malwina?

Uniosłam głowę znad ostatniego tekstu. W drzwiach stała Basia, pukając wymownie w nadgarstek. Nie musiałam patrzeć na zegarek, by domyślić się, że lada chwila zacznie się sylwestrowe spotkanie z pracownikami. Ostatni raz rzuciłam okiem na tablet i uśmiechnęłam się pod nosem, widząc wybite wersalikami nazwisko młodej kobiety, zatrudnionej zaledwie dwa tygodnie temu. Pomyślałam „oby tak dalej” i bez zastrzeżeń zatwierdziłam jej pierwszy felieton.

*

– Samochód. Bagażnik. Teraz – rzuciłam bez pardonowym tonem, wciskając kluczyki do ręki zaskoczonego Mateusza.

Zanim zdążył zrzucić mnie z wysokich schodów, skorzystałam z okazji i przepchnęłam się do bezpiecznego przedSIONKA. I żeby całkowicie uniemożliwić mu próbę uduszenia mnie, cisnęłam prosto w jego pierś pakunkiem z ulubionej cukierni Oskara.

– A ja co, twój szofer? – warknął nieprzyjemnie, mrużąc oczy.

Gwałtownie nabrałam powietrza, przyciskając dłoń do serca.

– Damie każesz dźwigać? Poza tym jestem twoim gościem, prawda? – dodałam, zalotnie trzepocząc rzęsami. Ale na Mata absolutnie nie działały żadne z kobiecych sztuczek i żeby poka-

zać mi, w jak wielkim poszanowaniu ma mój dość śmiały rozkaz, prychnął, wykrzywiając usta w zimnym półuśmiechu.

– To chyba dasz radę wnieść sama, czy to także wykracza poza twoje możliwości? – powiedział, wpychając mi w ramiona siatkę.

– Zdziwiłbyś się, jak wielką jestem damą w potrzebie – westchnęłam, udając, że skręcam się z bólu.

Na twarz Mata wpłynął ironiczny grymas i już wiedziałam, że zasadzi mi jakimś wybitnie wrednym tekstem.

– Z tym zgłoś się do Arka.

Zamarłam, a bryła lodu opadła na dno mojego żołądka. Strząsnęłam z ramion płaszcz i odrobinę zbyt mocno powiesiłam go na wieszaku.

– Kutas – syknęłam rozjuszona i ruszyłam korytarzem, odrobinę zbyt głośno stukając obcasami.

– Słyszałem!

– I dobrze! Im większa samoświadomość, tym lepsza efektywność!

– Co jest dobrze?

Zatrzymałam się gwałtownie, gdy z kuchni wychyliła się Lilka. Uśmiechała się radośnie, a przybrudzone mąką dłonie wycierała w kraciastą szmatkę. Miała na sobie różowy fartuszek z frędzelkami, a długie rude włosy zaplotła w dwa urocze warkocze. Z miejsca z mojej głowy uleciały wszystkie złośliwe epite-ty, którymi w myślach ciskałam w Mateusza. Odłożyłam ciasto byle gdzie i uściskałam moją najdroższą przyjaciółkę.

– Dobrze znowu cię widzieć – powiedziałam, wzdychając rozluźniona. Lilka zachichotała, kładąc mi głowę na ramieniu. Najwyraźniej obie czerpałyśmy siłę z naszego uścisku. Odchyliłam się nieznacznie, przyglądając się jej z troską. – Jak się czujesz?

– Czy kiedykolwiek ktokolwiek przestanie o to pytać? – jęknęła i z dość markotną miną przewróciła oczami. – Statystycznie słyszę to najczęściej zaraz po „cześć!”.

– Mówiłam, żeby zrobiła sobie test, bo zrzędzi tak całe popołudnie – zarechotała Džas, wbiegając po schodach. Na nasz widok jej umalowane czerwienią pełne wargi rozciągnęły się w ogromnym uśmiechu.

– I ma do tego święte prawo! – Natychmiast wzięłam stronę Lilki, bo ta już zaróżowiła się po same uszy. – Pamiętaj, czyją jest dziewczyną.

– Słuszna uwaga – Džas pstryknęła palcami i ciężko wzdychając, położyła dłoń na ramieniu Lilki. – Narzekaj. Rzucaj sarkazmem na lewo i prawo. Po prostu korzystaj, ile wlezie – dodała takim tonem, jakby składała kondolencje.

– Jesteście straszne! – Lilka roześmiała się w głos i przytuliła nas mocno do siebie.

Stałyśmy tak we trójkę, trzy dorosłe kobiety, i po prostu cieszyłyśmy się z naszej bliskości. Sama już nie pamiętałam, jak wyglądało moje życie, zanim pojawili się w nim Lilka i Oskar. Wypełnili dzwoniącą w uszy ciszę w moim domu, sprawili, że każdy dzień przynosił coś nowego – przegonili bolesne uczucie samotności. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak puste było moje życie. Od lat wmawiałam sobie, że przyjaźń to coś zbędnego, coś, co tylko by mnie zaangażowało i nie pozwoliło skupić się na karierze. Lilka i jej synek uświadomili mi, jak bardzo się myliłam. Przyjaźń była równie łatwa jak oddychanie. Byłyśmy zupełnie różne, prowadziłyśmy inny styl życia, a jednak pasowałyśmy do siebie idealnie. Jak puzzle. Razem stanowiłyśmy całość. I chyba najbardziej zaskakujące w tym wszystkim było to, że nie znałyśmy się zbyt długo, bo ledwie rok. To zbyt mało, by poznać drugiego człowieka, by odkryć jego mocne oraz słabe strony, by dotknąć jego prawdziwej natury i odgadnąć, kim tak naprawdę jest. Do tego potrzeba próby czasu. I tak, zdawałam sobie sprawę z tego, że ona nadal trwa. Dwie z nas wciąż skrywały rany zadane w przeszłości, które nadal bolały, jątrzyły się i sprawiały, że aż do teraz byłyśmy zainfekowane nieufnością.

I jednego byłam pewna. W przypadku moim i Džas tych blizn nie dało się ukryć tatuażem. Te skazy zostaną w nas już zawsze.

Uśmiechnęłam się lekko, przesuwając ręką po splecionych włosach Lilki i jednocześnie drapiąc Džas po plecach. Naprężyła się, mruczając jak mały czarny kociak złakniony pieszczot.

– A gdzie Oskarek?

– Bawi się w salonie z Arkiem – odparła Lilka, odsuwając się, by przemieszczać coś bulgoczącego w garnku. – Przywiózł całą torbę książeczek aktywizujących – dodała, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Wpisz się w kolejkę, bo później ja schodzę ze swoim majdaniem – zakomunikowała Džas, mrugając do mnie znacząco.

– Gdzie postawić?

Zaskoczone spojrzałyśmy za siebie, bo Mat, ciężko sapiąc, stanął w progu kuchni, dźwigając ogromny karton. Wskazałam mu miejsce obok stołu, a on ostrożnie odstawił paczkę i przewracając wymownie oczami, ruszył z drugim kursem. Pierwsza do pudła dopadła Džas i z ciekawością zajrzała do środka. Lilka dołączyła chwilę po niej, a jej oczy zrobiły się ogromne. I tak, to jej reakcji obawiałam się najbardziej.

– Oszalałaś? Oszalałaś – stwierdziła, marszcząc brwi.

– Zapamiętajcie sobie, że to ja jestem ciocią numer jeden – zazna-
czyłam, gdy Džas wzdychała, zachwycona ubrankami i zabawkami dla Oskara. – Poza tym to próbki, które zostały po ostatniej sesji, więc, tak jak prosiłaś, nie wydałam na to ani złotówki.

– Przypomnieć ci, że niedawno były święta? Malwina, to za...

– Nigdy nie jest za dużo – zaprzeczyłam, uśmiechając się ckliwie do Lilki. Chwyliła mnie za rękę i uściśnęła ją lekko, a na jej policzki wpłynął rumieniec. Ta dziewczyna chyba nigdy nie przyzwyczai się do przyjmowania prezentów bez zbędnego skrepowania. Normalnie irytowałoby mnie to wieczne rumienienie się z byle powodu, jednak w przypadku Lilki było to

dziewczęce i całkiem naturalne. – Poza tym przywiozłam coś i dla was – dodałam, uśmiechając się chytrze.

Džas natychmiast wypuściła bawełniane koszule z rąk i spojrzała na mnie z dzikim zapałem.

– Masz próbki?!

– Obstawiam, że to ten karton – sapnął Mat, odstawiając pod ścianę ostatni pakunek. Skrzywił się, kładąc ręce na plecach. – Chyba że miałem to zanieść do kontenera dziesięć metrów dalej...

– Ani kroku dalej, Marcinkowski! – wykrzyknęła Džas, rzucając się na paczkę. Machając gwałtownie rękami, odgoniła Mata na drugą stronę kuchni. – Nie waż się podchodzić! Będę bronić tego skarbu własną piersią!

– Za dużej straty nie będzie – mruknął, lustrując ją wymownym spojrzeniem.

Jej drżące, zaciśnięte w pięści dłonie opadły wzdłuż ciała.

– Przypieprzę ci. Mogę, prawda? – spytała, odwracając się do Lilki, ale natychmiast zmarszczyła brwi. – Co jest?

Lilka pociągnęła nosem i pośpiesznie odwróciła wzrok, jednak zdążyłam zauważyć, że jej duże zielone oczy mienia się od wstrzymywanych łez.

– Co? A nic... – zbagatelizowała i tylko machnęła ręką. Mat poruszył się niespokojnie, więc szybko dodała: – Nie, wszystko okej, ale... chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję – dodała z trudem, bo ze wzruszenia głos odmawiał jej posłuszeństwa.

Tak samo jak mnie i Džas. Tak, Lilka miała całkowitą rację. To, jak jej życie zmieniło się przez te kilka miesięcy, było prawdziwym cudem. Czymś niezwykłym, za co zapewne dziękowała każdego dnia.

Usłyszałam, jak Mat wzdycha z ulgą. Wyciągnął rękę w stronę Lilki, a dziewczyna natychmiast do niego przylgnęła, składając głowę na jego torsie.

– Jest dobrze, nie? – szepnął łagodnie, całując ją w płatek ucha. Z wolna przesuwając rozpostartymi palcami po jej plecach, aż Lilka rozluźniła się na tyle, by przytaknąć z uśmiechem:

– Zajebiście dobrze.

Mat odrzucił głowę i roześmiał się w głos.

– I to jest moja dziewczyna!

W następnej sekundzie pochylił się, składając na jej ustach czulego całusa. Patrzyli sobie głęboko w oczy, a ja miałam nieodpartą wrażliwość, że rozumieją się bez słów. Byli tak inni. Tak różni. Tak doświadczeni przez życie. I pokochali się. Tak po prostu.

Odrzuciłam od nich wzrok i zagarnęłam Džas, byśmy mogły dać im chwilę prywatności.

– Piękna i bestia.

Przytaknęłam tylko, bo przez ściśnięte gardło nie wydostał się żaden dźwięk. Nie zazdrościłam przyjaciółce miłości. Ona na nią zasługiwała i całkowicie oraz szczerze kibicowałam temu związkowi. Zasługiwali na siebie i na rodzinę, o której zawsze marzyli. Tylko czasami taki widok chwycił mnie za serce, bo uświadamiałam sobie, że być może sama straciłam możliwość, by stworzyć coś tak ważnego i zarazem cennego.

Kilka minut później Lilka dołączyła do nas i z typowym dla siebie zapałem zaczęła przygotowywać sylwestrową kolację. Raz za razem wysyłała Džas i Mata, by znieśli do salonu szklanki, sztuce, talerze i miski wypełnione jedzeniem. Musiałam przyznać, że moja przyjaciółka jak zwykle przeszła samą siebie. Dziewczyny udały się na dół, a ja miałam wkrótce do nich dołączyć. Myłam ostatni garnek i w pewnym momencie drgnęłam niespokojnie.

Wyczułam, jak zmienia się powietrze.

Gęstnieje i iskrzy.

I wtedy usłyszałam za plecami basowy głos, który sprawiał, że wszystkie myśli uleciały mi z głowy.

– Cześć – wyszeptał Arek.